Świat należy do niewrażliwych. B. J. Jenne.



Caracas, Wenezuela.

Florian Śmieja *(Mississauga, Kanada)*

Wielu Polaków przeszło koleje godne epopei. Do nich zaliczę

Beniamina Józefa Jennego urodzonego w Warszawie w 1913 roku. Oddany od wczesnych lat ideologii lewicy po wojnie znalazł się w zarządzie miasta Warszawy. Nie mogąc pogodzić się z rozwojem sytuacji politycznej, już w roku 1948 uszedł do Szwecji.

W tymże roku kończyłem studia uniwersyteckie w Irlandii, kiedy do portu w Cork zawinął okręt z demobilu „Victoria" wiozący kilkuset uchodźców z krajów bałtyckich. Płynęli oni ze Szwecji do Kanady, aby próbować szczęścia w Nowym Świecie. Byli to głównie Liwini, Łotysze i Estończycy, ale znajdowali się wśród nich również Polacy. Tak poznałem Jennego i jego żonę.

Władze irlandzkie statek, jako nie nadający się do transatlantyckich wojaży, zatrzymały. Do uchodźców po czasie przyjechali kanadyjscy urzędnicy emigracyjni, by ich przesłuchać. Zakwalifikowali wszystkich, ale odrzucili Jennego. Przeszłość tamtych, choć nieraz podejrzana, nie stanowiła przeszkody. Polaka natomiast nie przyjęli, chociaż chronił się przed stalinowską opresją.Wydał się wszechwładnemu urzędnikowi niebezpiecznym socjalistą. Musiał wracać do Szwecji już z synem urodzonym tymczasem w Irlandii, kóremu dano na imię Patryk. Jenne po czasie dostał wizę do Wenezueli. Był to jedyny kraj, który mu uchylił drzwi. W Caracas zaczęło się więc nowe dla niego życie, na świat przyszedł drugi syn, Karol. Jenne po różnych próbach otworzył zakład galwanizatorski w

śródmieściu stolicy.

Bawiąc w 1979 roku w Caracas skorzystałem z przerwy między sesjami naukowymi odbywającemi się w gmachu Ministerstwa Oświaty, poszedłem na ozdobionym konnym pomnikiem oswobodziciela kraju plac Bolivara. Na ten plac wychodziły okna warsztatu Jennego. W ciasnym lokalu na wysokim piętrze stały przyrządy obok słoików i basenów, w których elektroliza przenosiła złoto na zawieszone na przeciwnym biegunie przedmioty, spotkałem powtórnie, po nieomal trzydziestu latach, mężczyznę już o przyprószonych siwizną włosach ale rogatym nadal duchu. Pod telefonem wiszącym na ścianie stał niewielki stół a na nim stara maszyna do pisania, na której przez wiele lat wystukiwał swoje teksty pomimo odgłosu maszyn, dzwonka telefonu i nachodzenia klientów. Potrafił się skupić, odciąć od świata i robić swoje w najbardziej niesprzyjających okolicznościach. Pozbawiony naturalnego pola do działania, Jenne, człowiek akcji, całą swoją energię przelewał na papier. Zaczął pisać na serio już w Szwecji i szybko utorował sobie drogę do czasopism emigracyjnych jako zadziorny publicysta, poeta i pisarz.

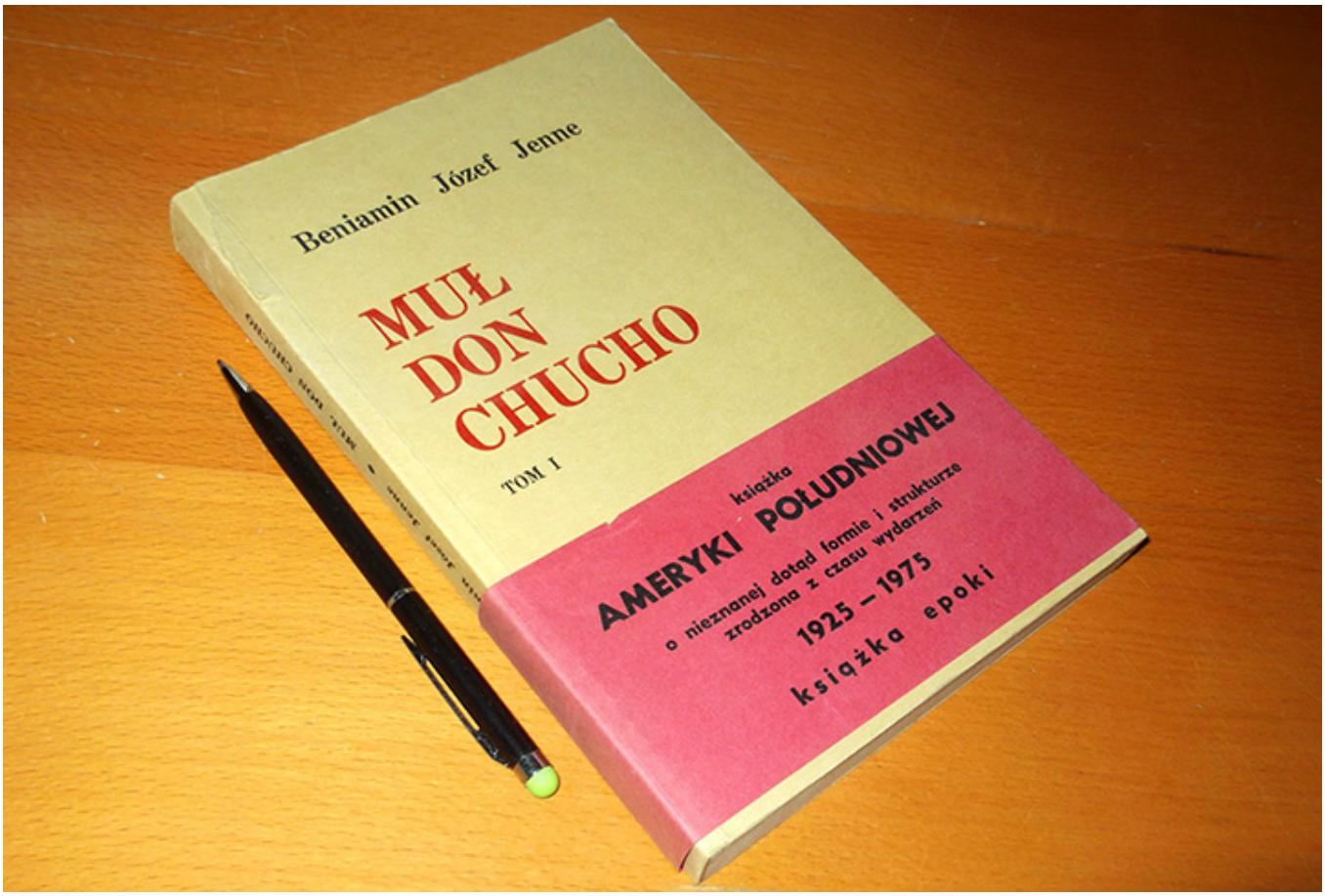
W tomie wierszy „Smagły wiatr ” (1959) uwagę zwraca drukowany także w paryskiej „Kulturze” wiersz krytykujący warunki, w jakich znajdowali się ludzie myślący innymi kategoriami i nie akceptujący wytworzonej sytuacji. Tytuł innego

wiersza „Nie pójdę do Canossy” mówi sam za siebie. Po zbiorze „Czarne poematy z dyliżansu” (1963) wydał prozę „Aspazja, on i ja” (1964), w której ironicznie polemizuje z Witoldem Gombrowiczem i Jerzym Giedroyciem. Do poezji powrócił w „Erotykach” (1970), ale najsilniejszą jego pasją była ideologia.. W 1966 roku opublikował książeczkę „O ideowy profil emigracji” dedykowaną trzynastce młodych pisarzy londyńskiej grupy „Kontynenty” widząc w ich publikacjach zdrowy ferment i próby szukania wyjścia z krępującego partykularza.

Publikując książkę „Materia prima” w 1971 roku rozprawił się z marksizmem odmawiając mu warości naukowych. Jenne uważa się za prekursora takiego widzenia marksizmu, podzielanego obecnie przez wielu specjalistów. Na emigracji książkę przyjęto milczeniem. Jedynie Józef Mackiewicz poświęcił jej obszerny komentarz. Jenne zapowiedział kontynuowanie dyskusji, zgromadził wiele materiałów, celem zastanowienia się nad kierunkiem, jaki winna obrać lewica intelektualna, by wyjść z rozdroży, na których się znalazła. Wśród innych prac przygotował studium o Sołżenicynie zgłaszając pod jego adresem szereg zastrzeżeń,

Jenne nie stroni od kontrowersji i uważa, że tylko w ciągłym rewidowaniu naszych pojęć możemy mieć pewność, że kroczymy po właściwej drodze. Jego artykuły polemiczne pojawiały się na łamach „Kultury”, „Wiadomości”, „Kontynentów”,

„Merkuriusza”, „Nowego Znaku” i innych emigracyjnych pism. Niemniej wespół z nieortodoksyjnymi publicystami po pewnym czasie z nich zniknął. Nieobecność tłumaczył brakiem wolnych trybun dla wypowiedzi innych niż obowiązujące i że brak szerokiego wachlarza poglądów na sprawy publiczne był rezultatem polityki wydawców emigracyjnych. Dlatego, jego zdaniem, ucichło wielu ludzi twórczych. Mogli by się oni znowu pojawić i zaangażować, gdyby powstały nowe, niezależne pisma.



Przez wiele lat Jennego nurtowała myśl, by napisać

monumentalną powieść. Chciał odejść od polskiej tematyki, wojennych przeżyć i martyrologii. Mimo trudności finansowych sprowadzał książki i prasę, by się otoczyć bogactwem źródeł. W godzinach po pracy pisał swoje dzieło. Tak powstał „Muł Don Chucho". W 1962 roku autor miał już pięćset stron powieści, następne lata spędził na szykowaniu do druku tysiąca stron maszynopisu. Po ukazaniu się fragmentu w tygodniku „Wiadomości" powieść wyszła w roku 1979 w dwu tomach w Polskiej Fundacji Kulturalnej w Londynie finansowana przez autora.

Pragnął on w niej ukazać Wenezuelę, kraj, który go przyjął i pozwolił godnie rodzinie się urządzić. W powieści uchwycił lokalny koloryt egzotycznego kraju, warunki życia, wydarzenia kulturalne w przybranej ojczyźnie. Przede wszystkim jednak stworzył epopeję miasta Caracas. Jenne był świadkiem przemiany miasta z glinianego w żelbetonowo-szklane z wszelkimi tak szybkiego przeobrażenia konsekwencjami. Pokazał w książce panoramę pięćdziesięciu lat, od ostrej dyktatury lat dwudziestych, do zwycięstwa partii demokratycznej w 1973 roku, w której pokładał wielkie nadzieje. W powieści przewijają się politycy, wojskowi, urzędnicy, finansiści, inżynierowie i architekci, kupcy i robotnicy rolni, Indianie i Metysi a także cudzoziemcy, wśród których nie brak Polaków uczestniczących w wielkiej przygodzie przebudowy stolicy i społeczeństwa.

Doskonale wypadła egzotyka Wenezueli, spotkania z bykami, grzechotnikiem, pelikanami, krwiożerczymi rybami, kajmanem czy meduzą. Szczególnie zapisuje się w pamięci mocny epizod spędu bydła i powódź spowodowana wylewem rzeki Apure. Również zmaganie się cywilizacji z barbarzyństwem, temat wielu znamiennych powieści z ubiegłego okresu literatury Ameryki Łacińskiej, znalazły u Jennego interesujący nowy aspekt. Postrzega on podmywanie całego swojego kontynentu przez komunizm. Autor zdaje się być katastrofistą: świat mu się chwieje, Stany Zjednoczone łaje za brak konsekwentnej linii postępowania, Watykan zdaje mu się flirtować niebezpiecznie z Moskwą.

Wiele wątków politycznych rozszyfrujemy bez trudu, inne wymagają klucza, zwłaszcza jeżeli nie zna się Wenezueli. Pobrzmiewa nuta antyinteligencka: profesorom i jajogłowym osobnikom raz po raz się dostaje, nie uchodzi krytyce Picasso czy Penderecki. Antykomunizm autora szkodzi całości stępiając efekt, gdyż czasem jego nieokiełznane wybuchy graniczą z absurdem, kiedy np. pomawia dysydentów o agenturalność. Poznańskie wypadki przypisał prowokacji, na której nie poznali się emigranci i Wolna Europa.

Spostrzec łatwo, że szereg jego postaci mówi i myśli tak jak autor, do tego tonem rezonerskim i moralizatorskim. Wprawdzie nie brak Jennemu zacięcia satyrycznego, ale komizmu w jego

książce znajdziemy niewiele. Są natomiast fragmenty wypieszczone, jak choćby bardzo osobiste stronice poświęcone malarzom wenezuelskim, których płótna wiszą w Galerii Narodowej w Caracas. Forma książki, podział na eseje i szkice, nie każdego przekona, bo niektóre eseje wydadzą się zbyt mało organiczne, a nadmiar wątków zaciemnia nurt powieściowy. Za sukces natomiast uważam wielowątkowe rozegranie sceny zabójstwa Juana, gdzie każdy wątek zazębia się o tę scenę i nie tylko wzbogaca incydent, ale także dynamizuje całą akcję.

Gorzkie uwagi kierowane są również do Polaków, kiedy mowa jest o megalomanii małych narodów obnoszących się bez końca ze swoją parą wybitnych ludzi. *Ex post* powie o mizernych rezultatach współpracy Polaków z Zachodem .

> W Warszawie będą Rosjanie i sojusznicy skwitują nas orderami i gażami dla kilku generałów. Tak się też wasza zabawa w zachodniość zakończy!

O twórczości polskich pisarzy emigracyjnych sarknie:

> Szesnastu emigracyjnych pisarzy pisze szkice o Mickiewiczu, sześciu o Norwidzie, trzech o Krasińskim, jeden o ewakuacji Funduszu Obrony Narodowej i tylko jeden pisze powieść o

> jeszcze na razie nieustalonym tytule.

W powieści rodacy wypadli trochę za dobrze. Są malowani i szlachetni. Nawet Wenezuelka, Judyta, wychowana w Warszawie przez siostry urszulanki „wdzięk, kulturę i styl obejścia miała panien z kresowych, arystokratycznych dworów polskich”. Zanotowałem ze zrozumieniem przedstawioną rozterkę emigranta, który nie zdołał oderwać się od ojczyzny, a nie stanie się częścią nowej, bo nie potrafi zaakceptować jej odmienności. Autor dopowie, że świat należy do niewrażliwych.

Odniosłem wrażenie, że powieść jest zbyt ambitna, próbująca brylować na zbyt wielu płaszczyznach, co przy pasji autora nie mogło wypaść bez zastrzeżeń. Wszystkiego w niej za dużo, za mało zdyscyplinowania. Oddech ma natomiast szeroki, bo pokusiła się, by dać epicki zapis rozwoju i przeobrażeń dalekiego kraju.

Powieść to niezwykła z zadatkami na bardzo dobrą. „Muł Don Chucho” (czytaj ‘czuczo’) to ogromna bryła kamienia, z której dałoby się wykuć idealniejszy kształt, to niepełne światło, bo przysłonięte skazą.

Wielki wysiłek autora, zarówno twórczy jak i materialny, nie znalazł stosownego uznania. Brak czytelnika na emigracji, a

nieobecność książki w Polsce, stworzyły fatalną sytuację. Do tego autor poważnie zaniemógł. Czyż uratowanie marnującego się w Anglii nakładu nietuzinkowej książki jest rzeczą niemożliwą? Sądzę, że autor odstąpiłby cały zapas osobie czy instytucji, chcącej i potrafiącej książkę przewieźć i rozprowadzić w Polsce. Może ktoś spróbuje?